

Mariangela Calcagno

NARODZIŁAM SIĘ NA NOWO

Świadek nadziei
dla tych, którzy znaleźli się
w otchłani ciemności



ŚWIĘTY PAWEŁ

ził się podczas transfuzji przeprowadzonej w następstwie wypadku drogowego. Przebywa w szpitalu.

Pamiętam złość i nerwowość, z jakimi traktowałam kolegów z pracy, rozpacz ogarniającą powoli każdy skrawek duszy. Pamiętam Angelę z tych dni i odczuwam dla niej współczucie. Ciało mojego narzeczonego ulega zmianom, zżerane przez chorobę, a ja się szarpię, myśląc tylko o sobie: I gdzie jest ten twój Bóg? Co złego Mu zrobiłam? Dlaczego cię nie ratuje? Jestem egoistką, myślę tylko o swoim cierpieniu.

Pod koniec Luca nie jest już w stanie mówić, lecz gdy zadaję mu to pytanie, wciąż to samo, zawsze ma jedną odpowiedź: unosi palec i wskazuje na krzyż. Nie rozumiem, nie znam jeszcze mowy krzyża.

Cztery dni przed datą małżeństwa Luca odchodzi. Wszystko zorganizował: lilie na ołtarzu, księża w białych szatach, dzwony bijące uroczyście jak na Wielkanoc.

To wszystko wydaje mi się absurdalne: podczas gdy ja umieram z cierpienia, wokół mnie odbywa się, jak to odczuwam, farsa. Widzę tylko okrutnego Boga, który zabrał jedyną prawdziwą miłość w moim życiu.

Wieczorem w dniu pogrzebu idę na plażę. Jestem sama ze swą rozpaczą. Krzyczę do nieba: „Boże, jeśli istniejesz, zniszczę Cię, ale jeśli Cię nie ma, spędzę życie mówiąc światu, że nie istniejesz!”. Tym krzykiem wydałam Bogu wojnę, lecz zamiast zniszczyć Jego... zaczęłam niszczyć siebie samą. Tego wieczoru weszłam na autostradę w kierunku piekła.

Zejście do piekieł

Wygrywam konkurs na kierownika sieci restauracji w jednym z miast na północy Włoch. Jestem smutna, zła i całkowicie zamknięta w swoim cierpieniu. Koleżanka namawia mnie do uczestnictwa w zajęciach relaksacyjnych ze swoimi przyjaciółmi.

Nie zdając sobie sprawy, co mnie czeka, postanawiam spróbować, w końcu nie mam nic do stracenia. Prześladowuje mnie ciągły wewnętrzny niepokój. Bez Lukiego nic nie ma sensu. W sercu wciąż wybrzmiewa jedno pytanie: Dlaczego?

Wchodzę do mieszkania i idę wąskim korytarzem pełnym obrazów przedsta-

wiających unoszące się anioły. Dochodzę do pokoju: światło jest przyćmione, odurza mnie zapach niby kadzidła; łagodne dźwięki harfy i fletu przeplatają się z odgłosami natury. Czuję się tu bezpiecznie i myślę, że nic złego nie może mi się zdarzyć.

Jest nas czterech mężczyzn i cztery kobiety. Koleżanka mówi, żebym położyła się na dywaniku i zamknęła oczy. Nie potrafię ich zamknąć, choć wydaje się, że mam poczucie bezpieczeństwa. Nie mam zaufania. Zwraca się do mnie:

– A teraz przyłożę dłonie do różnych części twojego ciała. Wyjdzie stamtąd negatywna energia, a ja ci przekażę moją pozytywną energię.

Początkowo nic nie odczuwam. Kręcę się i ciężko oddycham, nagle czuję jej dłonie, jak dotykają niektórych części mojego ciała: zatrzymują się na sercu i na żołądku. Dopiero wtedy się uspokajam.

Po skończonym seansie przenosimy się do kuchni na prowizoryczną kolację. Przed rozejściem się koleżanka podaje mi pomalowany kamyk i mówi:

– Noś go zawsze ze sobą. Uchroni cię przed złymi prądami.

Przy całej mojej niewiedzy wydaje mi się to jakąś religią. Pokazują mi zdjęcia założyciela i jego wizerunek uspokaja mnie: Osho jest starszym człowiekiem ubranym na biało, z długą brodą. Myślę: Na pewno nic złego mi nie zrobi.

Mam już wychodzić, kiedy dobiega mnie wołanie:

– Poczekaj, Angela, trzeba wnieść opłatę.

Pierwszy seans kosztuje mnie pięćdziesiąt tysięcy lirów. Dopiero później odkrywam, że uczestniczyłam w seansie reiki.

To dopiero pierwszy krok w kierunku samozniszczenia.

W kolejnych tygodniach uczęszczam na seanse grupowe. Około trzeciego razu wciąż się bronię, jestem jak skała. Mam w sobie barierę, która mnie odgradza od „dobrostanu”, jakiego pragnę; jestem niespokojna, w żaden sposób nie potrafię zamknąć oczu i zrelaksować się; chcę mieć wszystko pod kontrolą. Szkoda, że nie posłuchałam swojego instynktu...

Moją drogę do piekieł przyśpiesza pozornie niewinne pytanie:

– Co powiesz na rozmowę z psycholożką? Może mogłaby ci pomóc.

Koleżanka daje mi do niej telefon, dzwonię. Zaczynają się spotkania z „panią doktor”. Chciałabym się otworzyć, powierzyć, zaufać, ale nie potrafię. Dopiero po kilku spotkaniach, jej zdaniem, przychodzi czas na zmianę podejścia.

Mówi:

– Musimy sięgnąć głębiej. Musimy zrozumieć, dlaczego cierpisz.

Czy trzeba było nauki, by to zrozumieć?

Proponuje mi zatem hipnozę. Nie znam się na tym, ale to nic: mam mnóstwo pieniędzy i mogę sobie na to pozwolić. Spotykamy się cztery razy w tygodniu. Nie zdając sobie z tego sprawy, nagle znajduję się w chorej relacji, w niszczącej symbiozie. Za pomocą hipnozy „pani doktor” manipuluje mną, podporządkowuje, przez dwa lata oszukuje. Jestem pionkiem w jej rękach. Do mojego całkowitego otumanienia dołączają seks i narkotyki, które stale towarzyszą naszym spotkaniom.

Pewnej sobotniej nocy, kwadrans przed północą, zabiera mnie w nieznanne miejsce. Są tam inne osoby, nie poznaję ich, mają głowy zakryte kapturami. Wszystko wydaje mi się normalne, nie odczuwam strachu. Mam wrażenie, że przeżyłam już taką sytuację: nie zastanawiam się, czy to dobrze, czy źle, dlaczego dzieje się to w grocie, a nie gdzie indziej. Wszystko jakbym już widziała. Zdaje mi się, że już tu byłam: „pani doktor” wykonała rzeczywiście „dobrą” robotę.

Kobieta, która miała mnie wyleczyć, nie jest wcale psychologiem, jest kapłanką szatana, która mnie zaprowadziła na moją pierwszą czarną mszę.

Trafiłam w złe ręce. Od tej chwili całkowicie pochłonął mnie świat mroku i śmierci: jestem odizolowana od wszystkiego i od wszystkich, tracę przyjaciół i uczucia. Nie jestem już zdolna do podejmowania decyzji. Moja wolna wola jest równa zeru, moja wolność jest żadna i tracę godność, moją kobiecą godność!

Angela, która w oczach świata jest kobietą sukcesu, umarła. Już jej nie ma. Została zabita wraz z jej duszą.

W nieprzerwanym przekraczaniu wszelkich granic poznaję zło twarzą w twarz: sataniści wierzą w obecność Jezusa w Eucharystii i dokonują jej profanacji, wierzą w istnienie diabła i go czczą. I oto uczestniczę w całkowitym odwróceniu liturgii katolickiej i także mojego życia.

Szatan kusi Syna Bożego takimi słowy: „Dam Ci to wszystko, jeśli upadniesz na kolana i oddasz mi hołd”^[2] i tymi samymi słowy kusi też mnie; oferuje mi władzę, złudzenie władzy bez ograniczeń, nawet możliwość decydowania o życiu bądź śmierci innych osób.

Mijają lata, jest noc Bożego Narodzenia 1996 r., kiedy stoję w obliczu największej próby: aby zostać kapłanką, muszę zabić. Szatan żąda ofiary, chce krwi.

Rozbrajające przytulenie

Jestem w pociągu do Rzymu, jego metalowy stukot bombarduje mój umysł w tym samym rytmie co obsesyjny głos kapłana szatana, brzącający wciąż we mnie: „Teraz to ty możesz mieć władzę!”. To zdanie drąży kropla po kropli moją wolę, mój umysł, moją duszę. Kilka oszczędnych słów, które dają mi potrzebną siłę, by doprowadzić do końca moje zadanie: zabić Chiara Amirante.

Założycielka wspólnoty Nowe Horyzonty^[3] jest osobą niewygodną dla sekty. Młoda kobieta wyciągająca z piekła narkotyków młodzież na stacji Termini stanowi poważne zagrożenie dla działań szatana.

Jest 6 stycznia 1997 r., uroczystość Objawienia Pańskiego: Jezus ukazuje się im i wszystkim ludziom, nawet tym, którzy są od Niego daleko. Jeszcze o tym nie wiem, że chce się objawić także i mnie.

Po przyjeździe do miasta wsiadłam do metra. W tym samym wagonie jest siostra ze zgromadzenia Matki Teresy z Kalkuty; gdybym ją wcześniej spostrzegła, z pewnością zmieniłabym miejsce. Wpatruje się we mnie niebieskimi oczami, co mnie strasznie denerwuje. Obraca w dłoniach paciorki różańca, spostrzegam, że na habicie ma łąkę w kształcie cyfry siedem. Nie przestaje na mnie patrzeć do chwili, kiedy wysiada, kilka przystanków przede mną, i mogę w końcu odetchnąć z ulgą.

Koło ósmej wieczorem jestem w Trigorii. Jestem tu pierwszy raz, ale wydaje mi się, jakbym to wszystko wokół mnie „już widziała”. Idę ulicą w kierunku zgromadzenia Nowe Horyzonty bez żadnych trudności. Mimo że jestem gotowa, gotowa żeby zabić, czuję, jak krew mi pulsuje w skroniach tak mocno, jakby miała mi odpaść głowa. Nie myśląc, naciskam dzwonek.

Chiara je kolację, jak mi to potem mówi, i czuje w sercu zachętę: „Otwórz te drzwi, bo jest tam moja córka w potrzebie”. Widzę ją przed sobą, jej uśmiech jest zbyt jasny dla moich oczu przyzwyczajonych do ciemności; w jednej chwili mnie obejmuje i „rozbraja” tymi słowami:

– Nareszcie jesteś w domu.

To przytulenie zmieniło na zawsze moje życie.

Chiara zabiera mnie do swojego pokoju, długo rozmawiamy, ale nic z tego nie pamiętam. Zaczynam jedynie nabierać świadomości, że ci z sekty znajdują mnie i zabijają. Poniosłam klęskę. Nie zabiłam, jestem więc skazana na śmierć.

W rozpaczy, że muszę umrzeć, nagła myśl: katolicy wierzą, że poświęcona hostia jest ciałem Chrystusa, nauczyłam się tego w sekcie. Mówię więc do Chiary:

– Chiaro, jeżeli zjem ten „biały krążek”, to będę uratowana!

– Tak, ale przedtem musisz doznać Bożego miłosierdzia.

Wzywa natychmiast księdza i spowiadam się, lecz nie mogę dostać od razu rozgrzeszenia, bo tyle namieszałam, i zgodnie z prawem kanonicznym grozi mi ekskomunika. Jednak to nas nie zniechęca: ksiądz, wzięwszy kartkę papieru i pióro, pisze długi list do Kongregacji Nauki Wiary, w którym wyjaśnia moją sytuację. Odpowiedź nadchodzi już po dwóch dniach. Niejaki kardynał Ratzinger, o którym oczywiście nigdy nie słyszałam, odpowiada: „Dziś Kościół się raduje, ponieważ córka wróciła do domu”. Nareszcie będę mogła uzyskać rozgrzeszenie i przyjąć Komunię św.

Wizja przyjęcia Komunii św. jest czymś przepięknym i odczuwam w sercu pragnienie odwdzięczenia się Jezusowi i braciom: chcę im ofiarować całe moje życie. Trochę się obawiam powiedzieć o tym Chiarze. Jeszcze przed kilkoma dniami byłam satanistką, a teraz chcę się poświęcić Bogu. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale Bóg mnie tak przyciąga, że nie mogę się oprzeć. Chiara, którą zaczynam poznawać, rozumie moje pragnienie i postanawiamy, że w dniu przyjęcia Eucharystii złożę też moje obietnice.

Na miejsce uroczystości wybieramy klasztor sióstr Matki Teresy z Kalkuty, w okolicy Celio. Tam właśnie spotykam tę siostrę z metra. Mówię, że widziałam ją przed kilkoma dniami, a jej odpowiedź dziwi mnie:

– Nie jechałam metrem w tym tygodniu. Zresztą Matka Teresa nakazała nam poruszać się zawsze parami, tak więc niemożliwe, byś mnie widziała w pojedynkę.

– Ale ja jestem pewna, bardzo dobrze cię pamiętam: masz na habicie łąkę w kształcie cyfry siedem.

Sprawdzamy, łąka rzeczywiście jest. Patrzymy na siebie zaskoczone: Coś się

musiało wydarzyć, ale nie znamy wytłumaczenia. Bóg w tym maczał palce...

W nocy 27 grudnia Jezus pod postacią Eucharystii wchodzi do mojego wnętrza. Moje niespokojne serce, nie wiedząc tego, od dawna czekało na tę chwilę.

Powierzam się niepokalanemu sercu Maryi i składam obietnice ubóstwa, czystości, posłuszeństwa i radości we wspólnocie Nowych Horyzontów, gdzie odnalazłam ratunek w sensie duchowym i fizycznym.

Byłam kobietą bogatą i bez skrupułów. Łudziłam się, że mam wszystko, podczas gdy okradano mi duszę. Stałam się „bogiem” własnego życia. A mimo to oddałabym wszystko za chwilę prawdziwej radości, radości z obecności Chrystusa, którą od tej chwili zaczęłam smakować. Ale to był dopiero początek...

Rozdział 2

Powoli rodzę się na nowo

W wolnym tempie do Światła

Wyglądam przez okno w hotelu i wracam myślami i sercem do tamtej nocy wiele, wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy ujrzałam w sobie pierwszy promyk świtu. Po tylu latach nieprzeniknionych ciemności dociera do mnie promień światła Zmartwychwstałego, który następnie oświetli mnie z całą swoją mocą.

Tamtej nocy zaczęłam powoli wydobywać się z ciemności. Od tamtej nocy Nowe Horyzonty stają się moją rodziną. Z pomocą Pana i przyjaciół ze wspólnoty podążam z ufnością, mimo że cierpienie, trudy i przeszkody w wielu chwilach wydają się nie do pokonania.

Moja przeszłość związana ze śmiercią powraca regularnie. Pragnę żyć w jasności, ale związki z mrokami wciąż jeszcze nie są do końca przerwane: zatrzymują mi spokój dniem i nocą. Podejmuję drogę do wyzwolenia się z duchowym, ojcem Giancarlo. Jego egzorcyzmy nade mną są decydujące, bym się stała znów wolną kobietą.

Nawet kiedy nie rozumiem, nawet kiedy nie daję rady, nawet kiedy nie mam sił, wykończona trudnościami, powierzam się Bogu. Nie jest już mym wrogiem, jest dobrym Ojcem, który mnie obejmuje, pociesza i osusza moje łzy za każdym razem, gdy tego potrzebuję.

Chiara i cała wspólnota są zawsze obok mnie. Jestem omotana niewidzialną siecią, która mnie ochrania. Ich modlitwa, ich miłość, ich oparcie są bezcenne. Angażuję się w liczne akcje Nowych Horyzontów: dopiero co zostawiłam za sobą piekło, teraz chcę pomagać innym, by z niego wyszli.

W 2000 r. współpracuję z ośrodkiem natychmiastowej pomocy Arcobaleno dell'Amore (Tęcza Miłości) w Rzymie. Przychodzą tu narkomani, dziewczyny w ciąży, alkoholicy, młode prostytutki... osoby wszelkiej maści ze śmiercią

w duszy. Pierwszy cud następuje, kiedy odkrywają, że można inaczej żyć: próbują zostawić za sobą przeszłość, czują akceptację i oddają się w ręce kierownikom ośrodka i sile modlitwy. To wszystko sprawia, że zaczynają czuć siłę miłości Jezusa. Wielu z nich, gdy już się odrodzi, staje się ludźmi odpowiedzialnymi, niektórzy zostają konsekrowani. Wcześniej byli niewolnikami narkotyków, seksu, alkoholu, teraz są narzędziami wyzwolenia. Na początku 2003 r. zostaje delegowana do Casa Gioia (Domu Radości), nowego ośrodka dla kobiet w Marino w Castelli Romani. Przychodzą tu dziewczyny, które są matkami, nastolatki, które dokonały aborcji, młodzi ludzie, którzy oddali dzieci do adopcji. Świat cierpienia, który z trudem akceptuję, ponieważ z ich historiami odżywa moja przeszłość.

Pewnego dnia opowiada mi swoją historię dziewczyna, która urodziła w więzieniu i lekką ręką oddała dziecko do adopcji. Mówi ze łzami w oczach:

– Dziś miałby osiem lat, ale go nigdy więcej nie widziałam. Ciekawe, jak wygląda, ciekawe, jak mu jest w adopcyjnej rodzinie. Tak bym chciała być przy nim, kiedy po raz pierwszy idzie do szkoły...

Te słowa otwierają rany w moim sercu. Przechodzę kryzys: nigdy nie rozwiązałam moich problemów z matką naturalną; walczą we mnie uczucie do tej, która mnie poczęła, z nienawiścią za to, że mnie porzuciła.

Pewnego wieczoru, kiedy jestem w kaplicy, światłość Zmartwychwstałego opromienia także tę ranę. Czuję w sercu niezłomne przeświadczenie: Jeśli dziś jestem, to dlatego, że pewnego dnia matka chciała mnie i powiedziała „tak” życiu – pomimo przeszkód. Nie mam żadnego prawa, by ją osądzać.

Niechciane „dziękuję”

Rodzi się w moim sercu głębokie pragnienie odnalezienia matki, by powiedzieć jej „dziękuję”. Wszczynam procedury przewidziane prawnie: w moim przypadku mogę uzyskać sądową zgodę na skontaktowanie się z nią.

Po kilku miesiącach matka wyraża zgodę. Otrzymuję adres i numer telefonu. Tego samego wieczoru, wspierana miłością przyjaciół, zbieram się na odwagę: wybieram numer i z duszą na ramieniu proszę ją do telefonu.

Przez kilka tygodni słyszymy się przez telefon i planujemy spotkanie w dniu

urodzin mieszkającej z nią mojej siostry.

Jest czerwiec 2004 r., jadę na spotkanie samochodem. Razem ze mną są dwaj przyjaciele z Nowych Horyzontów i siostra Teresa Benedetta ze Wspólnoty Błogosławieństw – poznana na plaży podczas spotkań ewangelizacyjnych – która teraz jest moją duchową przewodniczką.

Jestem pełna oczekiwań, ale nie chcę się łudzić. Nogi mi się trzęsą, serce mocno bije. Wchodzimy do domu: razem z matką czekają na mnie moja siostra i jej córka. Patrzymy sobie pierwszy raz w oczy i się obejmujemy, ale odczuwam między nami chłód, który mnie niepokoi; być może objęcie przytulenie nie wystarczy, żeby wymazać istniejący całe życie dystans.

Pokazuje mi zdjęcia ojca, zmarłego przed dwoma laty, opowiada kilka epizodów z czasów, gdy byłam małą. Słucham z zainteresowaniem, ale nie do końca ufam. Wydaje się, że mam przed sobą normalną kobietę, ale nie mogę powstrzymać się od myśli: Jak to możliwe, że mnie porzuciła?

Następnego dnia zimny prysznic: po południu dzwoni moja siostra w imieniu matki, żeby mi przekazać:

– Nie istniałaś dla mnie wtedy i nie istniejesz teraz. Zniknij z mego życia!

Niespodziewane i niezrozumiałe dla mnie słowa rozwalają mnie. Mam załamanie. Mój dom zbudowany, jak sądziłam, na skale stoi na piasku: już myślałam, że na pierwszym miejscu w moim życiu jest Bóg, a tymczasem wciąż jest Angela i jej potrzeby: potrzeba akceptacji, miłości, bycia chcianym. Potrzeby, które zostają zdeptane na skutek kolejnego odtrącenia.

Nigdy nie zrozumiałam zachowania matki: po co zgodziła się na spotkanie, skoro potem ponownie mnie odtrąciła? Przynajmniej zdążyłam podziękować jej za dar życia, ale jestem rozbita. W drodze do Rzymu płaczę i nie mogę się uspokoić. Wróciwszy do domu, skarżę się Chiarze:

– Co złego zrobiłam Jezusowi? Czemu tyle cierpień w moim życiu? Teraz przecież pracuję dla Pana... Czemu mi nie pomaga?

Aby rozluźnić sytuację, opowiada mi anegdotę o św. Teresie z Ávili, która wiele w życiu doświadczyła. Pewnego dnia zwróciła się do Jezusa:

– Słuchaj, czemu mnie tak traktujesz?

– No wiesz, Tereso, zachowuję się tak w stosunku do przyjaciół.

– No to rozumiem teraz, czemu masz ich tak mało!

Chiara mówi mi też, że nie możemy przypisywać Panu odpowiedzialności

za nasze cierpienie: w przeważającej części jest ono wynikiem błędnych wyborów człowieka. To nie On chciał, żeby mnie matka odtrąciła, tylko ona sama dobrowolnie wykonała gest, który mnie tak głęboko zranił... I kto wie, ile musiała sama wycierpieć, żeby tak się potem zachować.

Tymczasem Pan kochał mnie tak bardzo, że wziął na siebie każdy mój krzyk, każdy smutek, każde odrzucenie, by przeobrazić każde cierpienie: „przez jego rany zostaliśmy uzdrowieni”^[4]. Ten, który umarł dla mnie, obdarza mnie pełnią radości swego zmartwychwstania. Dziś potrafię powierzyć w Jego ręce najstraszliwsze cierpienie, mając pewność, że: „tym, którzy kochają Boga i którzy zostali powołani zgodnie z Jego wcześniejszym zamysłem, wszystko służy dla ich dobra”^[5], mimo że tak od razu nie są w stanie tego zobaczyć!

W uroczystość Bożego Ciała do Piglio^[6] przybywa grupa młodzieży ze szkoły ewangelizacji prowadzonej przez Daniela Ange’a^[7]. Odbywa się wielkie święto, a ja się czuję zupełnie nie na miejscu, jeszcze się nie podźwignęłam po spotkaniu z matką. Naraz Chiara zwraca się do mnie:

– Czy byłabyś w stanie opowiedzieć o sobie?

Czuję wewnętrzny opór, mimo to decyduję się i oto dokonuje się cud miłości: jestem zmęczona, rozgoryczona, nie mam ochoty mówić, ale czuję silne działanie Ducha Świętego. Opowiadam trochę o tym, co przeżyłam: to ważna chwila dla mnie i dla tych, którzy mnie słuchają. Moje serce jest rozdarte, ale w chwili, gdy postanawiam się otworzyć, zaczynam odczuwać wewnętrzną radość i spokój.

Nowe serce, w miejscu objawienia

Dzień potem Chiara zapytała:

– Posłuchaj, Angelo, potrzebujesz trochę odpoczynku, czemu nie pojedziesz na kilka dni do Medjugorie^[8]? Myślę, że dobrze ci to zrobi. Jestem pewna, że jest to miejsce spotkania z Bogiem i miejsce modlitwy. Doświadcza się tam w wyjątkowy sposób obecności Matki Bożej, a kto lepiej od Matki Niebieskiej mógłby pomóc przetrwać to straszne cierpienie? Jestem pewna, że obdarzy cię bezzwłocznie swym łagodzącym balsamem, jedynym, który jest w stanie zasklepić głęboką ranę w twojej duszy.

Moja pierwsza odpowiedź nie była trafiona:

– Do Medjugorie? Chyba żartujesz?! Tam jeżdżą tłumy jakichś dziwnych ludzi... Nie czuję się na siłach. Jeśli miałabym jechać do Medjugorie, to wolalabym wylegiwać się na plaży Adriatyku i sączyć dobry napój.

Pan jednak ma inne plany, ponieważ mimo niechęci ufam i jadę: jest lipiec 2004 r. Gości mnie para Chorwatów, Toni i Silvana, dwie wspaniałe osoby, które od początku kochają mnie jak córkę. Jest przy mnie także duchowny z Nowych Horyzontów. Mimo to wciąż źle się czuję, nie chcę jeść, jestem apatyczna i nic mnie nie interesuje. W końcu pewnego dnia postanawiam iść na Mszę św. do parafii. Pozostaję jednak poza kościołem, na słońcu. Przynajmniej się opalę – myślę.

Kiedy tak stoję, przechodzi Marija, która ma objawienia. Znam ją tylko z widzenia, lecz ona, obdarzona doskonałą pamięcią, pamięta mnie.

– Angela, co tu robisz?

– A co mam robić, Marija? To co i ty: jestem na Mszy św.

– Nie widziałam cię ostatnio. Od jak dawna tu jesteś?

– Od kilku dni!

Proponuje mi:

– Jutro będę w „Oazie Pokoju”, by doświadczyć obecności Maryi, bo zaczynają się rekolekcje duchownych i będzie sporo ludzi. Byłoby mi miło, gdybyś poszła ze mną. Przy wejściu powiesz siostronom, że cię zaprosiłam.

Wstaję, spoglądam na nią i mówię:

– Marija, tym razem to Matka Boża musi do mnie przyjść, ja się nie ruszę.

Marija jest zaskoczona i mówi półgłosem:

– Myślę, że będzie ci to potrzebne.

Cierpienie sprawia, że jestem nieuprzejma i upomina mnie zaprzyjaźniony ksiądz:

– Sądzisz, że grzecznie tak odpowiadać?

– Posłuchaj, jeśli chcesz tam iść, to idź. Czego chcesz ode mnie?

Następnego dnia ksiądz znów nalega, a ja:

– Dokąd idziesz? Daj spokój... I tak Matki Bożej nie zobaczysz.

On jednak idzie, a około siedemnastej trzydzieści przekonuje mnie Silvana.

Jest późno, nie ma możliwości, by się dostać nawet na alejkę prowadzącą do Oazy. Staję w cieniu drzewa obok amfiteatru. Przechodzi Marija.

– Pójdiesz do środka ze mną.

– Marija, uspokój się, czy w środku, czy wewnątrz i tak Matki Bożej nie zobaczę. Postoję przynajmniej w chłodzie.

Nawet nie mrugnie powieką. Chwyta mnie za kołnierzyk bluzki, w obecności wszystkich, i ciągnie mnie za sobą w kierunku kapliczki. Zapadam się pod ziemię ze wstydu!

Marija przewodzi odmawianiu Różańca i pod koniec zwraca się do obecnych:

– A teraz kto może, niech uklęknie, bo nadchodzi chwila objawienia. Powierzę Matce Bożej wszystkie wasze intencje modlitewne i wszystkie osoby, które nosicie w sercu.

Nadal stoję, ale Marija bierze mnie za ramię i pociąga w dół, na kolana, obok siebie. Zaczyna się modlić po chorwacku, ale w pewnej chwili przerywa i patrzy do góry: to chwila ekstazy.

Myślę o wszystkim, tylko nie o objawieniu. Czerwona ze wstydu, że zaciągnęła mnie tu na siłę, spoglądam na Mariję i się zastanawiam: A ta w jakim języku będzie rozmawiała z Matką Bożą, po włosku czy po chorwacku?

Nagle coś się zaczyna dziać: czuję w ciele dziwne ciepło rozchodzące się od czubka głowy do palców stóp. To ciepło jest cudowne. Czuję przytulenie, które mnie okrywa niczym płaszcz. Jeżeli raj jest podobny do tego wszystkiego, natychmiast się pod tym podpisuję. To fantastyczne! Ból, który ciągnie mnie do tyłu jak balast, zaczyna znikać. Niewidoczna dłoń bierze moje zranione serce i zastępuje je sercem nowym. Ogarnia mnie nieznany dotąd spokój, sięga do głębi.

Poszłam wbrew woli, ciągnięta za kołnierzyk, i oto otrzymuję niezwykły i nieoczekiwany dar.

Już po wszystkim Marija mówi:

– Kiedy Gospa^[9] się pojawiła, powierzyłam jej wszystkie wasze modlitewne intencje. Gospa modliła się nad każdym z was i was pobłogosławiła.

Nasze spojrzenia spotykają się i Marija mówi do mnie przy wszystkich:

– Gospa bierze na siebie całe cierpienie, które nosisz w głębi serca; od dziś tylko ona będzie dla ciebie matką!

Patrzę na nią i myślę: Co ona mówi? Chyba oszalała...

Odwracam się gwałtownie do zaprzyjaźnionego księdza i mówię:

– Co powiedziałaś Mariji?

Ze łzami wzruszenia przekonuje mnie, że nic nie powiedział. Nie wierząc mu, wychodzę i myślę: Pomyślałby kto, tego tylko brakuje, żeby Matka Boża przemówiła do mnie. Kimże ja jestem?

W Medjugorie mówi się żartobliwie, że widok biegnącego pielgrzyma oznacza, że ściga on kogoś z wizjonerów. Natomiast tym razem to Marija mnie goni. Dobiegłszy, zaprasza na kolację do domu. Po drodze odgrywam rolę św. Tomasza. Jeżeli nie zobaczę, nie uwierzę.

– Marija, tam w kaplicy miałaś coś do mnie?

Ona na to, pięknie się uśmiechając:

– Ja nie, Matka Boża tak.

Otrzymałam odpowiedź, której szukałam: Maryja to także moja matka.

Jeżeli dziś żyję, a jutro przystąpię do chrztu, to dlatego, że wzięła mnie pod swoją opiekę i zawsze chroniła. Za każdym razem, gdy biorę do rąk różaniec, towarzyszy mi Matka Boża. Do czasu tej podróży do Medjugorie pracowałam dla Boga, od tamtego czasu Matka Boża poleciła mi pracować wraz z Bogiem.

Szukałam miłości i spotkałam Jezusa

Wracam z Medjugorie i jest przy mnie niezwykła Matka: wiem, że Matka Boża jest u mojego boku całą dobę. Zanim podejmę decyzję, zastanawiam się: Ja bym tak postąpiła. Ale gdyby na moim miejscu była Maryja, jak by zareagowała?

Pojęłam nową tajemnicę, która całkowicie odmienia moją codzienność: milczenie Maryi pod krzyżem. W przeszłości uciekałam przed cierpieniem: usiłowałam utopić cierpienie w narkotykach, w seksie, w pracy. Kiedy myślę o Matce Bożej obejmującej zmarłego Syna – w najkoszmarniejszym cierpieniu dla matki – rozumiem, co znaczy kochać: ofiarować swoje cierpienie także temu, kto zabił twojego Syna.

Doświadczam tej tajemnicy w sposób szczególny w Wielką Sobotę: tego dnia pojmuję, że nawet jeśli dramatyczne życiowe wspomnienia wciąż przysparzają mi wielkich cierpień, promień światła rozjaśnia me serce: Niezależnie od tego, co się stało, od tego, kto mnie skrzywdził, kto podeptał moją godność,